

Grób aus

Wszelkie wyjaśnianie zaczyna się sentymentalnie.

– Aksel Sandemose, *Uciekinier przecina swój ślad*
(przeł. I. Zimnicka)

Wieczór za oknem zachodził na granatowo, księżyc oświe-
tlał remizę za stawem. Po kolacji w kuchni zrobiło się pusto.
Rozeszli się gdzieś zmęczeni łokiem i gwarem w małym
mieszkaniu – przed telewizor czy na spacer – rodzice
i dziadkowie.

Pozostawiony sam sobie chłopiec kręcił się bez celu.
W końcu trafił z powrotem do kuchni, gdzie dogasał jesz-
cze węglowy piec. Szara konstrukcja przyczajona w kącie
przypominała smoka, śpiącego gada, tchnącego ciepłem
i spokojem odpoczynku. Chłopiec pochylił się nad szczeliną
w metalowym korpusie, przez którą widoczne były żarzące
się leniwie węgle.

Punkty na wzgórzach i w dolinach to rozpalały się, to
przygasały – jakby stwór oddychał. Chłopiec lubił myśleć
o rozpalonym węglu jak o mieście – zastanawiać się, co

widywaliby jego mieszkańcy spacerujący ulicami. O czym mogliby myśleć, zbaczając z szerokich rozpalonych arterii w przygaszone alejki? Kogo napotykać? Czy zauważyliby, że miasto oddycha falami? Jak tłumaczyliby sobie to dziwne zjawisko, samoistnie rozbłyskujące to tu, to tam ogniki? Chłopiec czuł, że obcuje z czymś ważnym i głębokim, może jakąś częścią wielkiej tajemnicy świata. No bo jak to było, że dookoła wytworzono precyzyjnie tyle rzeczy, że w nerwach i w poczuciu obowiązku obsługiwało je tylu ważnych ludzi – a wystarczyło zamknąć tę materię w piecu i podłożyć ogień, by wszystko na powrót stało się jednym, szarym spokojem?

Pomarańczowe miasto przygasło, zapadło w głęboką czerwień. Węgielki syczały kołysankę: *Na Wojtusia z Popielnika iskiereczka mruga...* Gdy ciepło i szept rozeszły się po jego młodym ciele, poczuł senność tak przemożną, że nawet podłoga nie wydała mu się w tej chwili niewygodna. Zwinął się obok pieca i zapadł w ciemność. Do łóżka przeniosła go babcia. Następnego dnia wysunęli popielnik i strząsnęli popiół do wiadra.

Trach! Stołek się przewrócił i Wojtuś zleciał na ziemię. Po chwili otrząsnął się z szoku, rozejrzał dookoła i dostrzegł złamaną belkę w oparciu łóżka. Odłożył na podłogę obrazek, przyczynę całego zamieszania, i spróbował spasować dwa kawałki drewna, lecz na próżno. Były to już dwa byty, niemożliwe do złączenia, jakby dwie połowy kraju poróżnione bratobójczą wojną.

No nie! – pomyślał chłopiec. – W jednej chwili był jeden kawałek, teraz są dwa! Jedna, drobna chwila, której skutków nie da się już cofnąć! Słyszał wcześniej tyrady dorosłych o podobnej treści, coś o nieodwracalności rzeczy i tak dalej,

ale jeszcze nigdy nie odczuł tego na własnej skórze. A tu w jednej chwili nie mieli żadnego powodu, by się na niego gniewać, a w drugiej – już taki powód mają. Wcześniej nie miał zmartwień – teraz ma. I do tego ta ręka. Czuł, jak narasta w niej ból. Zaczął nią obracać i oglądać ją pod różnymi kątami.

Zabawna rzecz – o ile wszystko toczy się normalnym torem, człowiek ogląda właściwie tylko niewielką część swojego ciała – trochę z góry, trochę w lustrze – ale wielu jego okolic tak naprawdę nie zna. Gdy tylko nauczy się, że to, co widzi, to jest jego ciało, natychmiast traci powód, by dalej je badać. Myśli, że wie już wszystko, a niesłuszność tego przekonania poznaje dopiero w chwili wypadku lub choroby. Wtedy na nowo odkrywa: Ach! A więc to jest moje ciało! To jest to moje nędzne, żałosne ciało, na które jestem skazany do końca moich dni!

Coś w tym rodzaju chodziło po głowie Wojtusiowi, choć słowa, w które ubrał swoje myśli, były daleko prostsze.

– Dziwne! Dziwne! – powtarzał pod nosem, lustrując w skupieniu wszystkie zaskakujące łuki i wzniesienia w bolącej ręce i ich odpowiedniki w tej drugiej. Lecz im dłużej patrzył, tym mniej rozumiał: Tak to powinno wyglądać? Czy nie tak? – Co za głupota! – wykrzyknął nagle w pustym mieszkaniu. – Zawiesić obrazek pod samym sufitem!

A ponieważ wiadomo, że największą ulgę przynosi zrzućcie wina na kogoś innego, po chwili, nieco uspokojony, westchnął:

– Do diabła z tym. – I poszedł zlać rękę zimną wodą.

Kiedy wrócił z łazienki, chwycił obrazek jeszcze raz, by lepiej mu się przyjrzeć. Czarny trójkąt, który zwrócił jego uwagę, okazał się świerkiem. Wojtuś znał świerki. Lubił

świerki. Wiele ich rośło tu przy drogach, szczególnie przy tej największej, prowadzącej nad morze. Środkiem obrazka płynęła srebrna rzeczka. Ta rzeczka również wydała mu się znajoma. Nawet – pomyślał – mógł kiedyś nią iść. Kiedyś wyprawili się tak pod prąd rzeczki Gozel, przepływającej za domem dziadków w Popielniku. Przeskakiwali wtedy z kamienia na kamień, czasem moczyli nogi, kiedy źle wymierzili skok – on i jakieś tutejsze dzieciaki, których imion zapomniał. To też było lato, któreś z poprzednich wakacji, przekonał dwóch chłopców i dwie dziewczyny z placu zabaw, żeby wyprawić się wbrew nurtowi w górę rzeki. Pamiętał: za mostkiem brzegi Gozel porastały gęsto drzewa. Ich gałęzie zwisały nisko, tak że czasem musieli schylać głowy. Może minęli wtedy taki mur z taką krzywo uchyloną furtką, zza której wychylała się pijana jabłonka?

Widział to wszystko wcześniej, czy nie? Psiakrew!

Pierwszy raz w życiu doświadczał tego dziwnego uczucia, jakby wysiadł z kolejki, którą od urodzenia jechał, i zobaczył wagoniki z boku. Gdyby wiedział, jak brzemiennie w skutki będzie to odkrycie! Może ten podpis coś wyjaśni – pomyślał, wyteżając całą świeżo nabytą zdolność czytania. Lecz litery nie układały się w żadne znajome słowa.

Tymczasem dorośli wrócili ze spaceru czy skądś tam, gdzie akurat się wybrali (to były również ich wakacje, które mieli prawo spędzać z dala od obowiązków, a dziecko niewątpliwie takim obowiązkiem jest). Odkryli złamane oparcie łóżka i przywołali go, by to wytłumaczył. Mieli porozmawiać – taki w rodzinie był zwyczaj. Wojtuś od małego był uczony mówić – przekładać czyny, uczucia, widoki i wszystko, wszystko, co tylko się da, na słowa. Oczywiście tym razem nie miał wiele do powiedzenia. Tym razem, ma

się rozumieć, to rodzice mówili. Wyjaśniali mu, jaki kłopot spowodował i jak takie postęпки zagrażały przede wszystkim jemu samemu. Słowa! Wszystko słowa! Tyle słów! Lecz słowa – chłopiec odkrył to już wcześniej – to broń obosieczna. Gdy tylko uda się wystarczająco dużo faktów sprowadzić do słów, znika punkt oparcia i wszystko przemienia się w bezsensowną paplaninę...

Więc przyszedł moment, kiedy i Wojtuś mógł się włączyć do rozmowy i pleść w najlepsze, mimo że nie miał nic do powiedzenia. Zaczął od podważania ich słów, to tu, to tam, po jednym, po dwa, ot tak. I już po chwili zamiast rozmawiać o łóżku, rozmawiali o tym, czy od ich wyjścia zdążyły upłynąć dwie godziny, czy tylko jedna; czy mebel, na który wszedł, należy nazwać krzesłem, czy stołkiem i tak dalej. Minuty płynęły, rozmowa trwała, a oni oddalali się coraz bardziej od tego, na czym powinni byli skupiać swoją uwagę – od jego ręki, która przez cały ten czas puchła. Sprawa wyszła na jaw dopiero, gdy w celu przypieczętowania zgody ojciec wyciągnął do chłopca rękę, żeby przybić piątkę.

Ojciec Wojtusia – cóż to był za człowiek! Wola udręczona przed pokoleniami jeszcze raz ucieleśniła się w tym potężnym mężczyźnie, którego ślepe przeznaczenie wyposażyło w umysł akurat na tyle sprawny, by mógł dostrzec tragizm swojego położenia, lecz zbyt słaby, by mógł się odeń uwolnić. Skutkiem tych predylekcji, gdy tylko działo się coś nieprzewidzianego, jak na przykład gwałtowne puchnięcie ręki jego dziecka, cokolwiek tracił głowę, a nie mogąc zdecydować, czy powinien przeklinać kolejny cios losu, czy raczej cieszyć się, że w końcu zaczyna się klęska, której wyczekiwał, zaczynał chodzić w kółko i zawadzać tym, którzy gotowi byli po prostu działać.

Dlatego to mama najpierw pomogła chłopcu założyć buty, a następnie poprowadziła go do przychodni jasnym, pustym rynkiem miasteczka Popielnik.

W poczekalni na białych parapetach leżały nogami do góry muchy. Każda miała takich nówek sześć – policzył Wojtuś, oczekując na przyjęcie. W końcu białe drzwi otwarły się i poproszono ich do środka. W gabinecie panował zaćmienie, a z powodu zaciągniętych żaluzji było ciemno. Lekarz, łysiejący mężczyzna o wylupiastych oczach i wystającym podbródku, zabrał chłopca do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie zrobiono mu prześwietlenie. Czarna plansza z białymi liniami oznaczającymi normalnie niewidoczne kości bardzo Wojtusia zaniepokoiła, ale lekarz w ogóle tego nie zauważył. Gdy tylko dostrzegł na fotografii coś, czego najwyraźniej tam szukał, odrzucił planszę na stół i poprowadził go do gipsowni, która mieściła się po drugiej stronie budynku. Tam inny człowiek, starszy pan o czerwonej twarzy i białych dłoniach, nakazał mu trzymać rękę nieruchomo i wziął się za owijanie jej wilgotnymi bandażami, które po kilku chwilach zeszytywniały, tworząc jakby skorupę. I to by było na tyle. Sprawę uznano za zakończoną.

Wracali do domu tą samą drogą, przez rynek. Słońce wciąż świeciło intensywnie, lecz przez te kilka godzin jakby dojrzało i nie było już wściekle białe.

Nagle Wojtuś przypomniał sobie coś i odezwał się:

– Mama, wiesz, co znaczy „Grób aus Poppelnicke”?

– „Grób”?

– „Grób”, ale z takim dziwnym „B” na końcu.

– Nie wiem. Skąd to wzięłeś?

– Przeczytałem na tym obrazku w domu. Skąd dziadkowie go mają?

– Nie wiem. Może znalazł się na gospodarstwie u wujka. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na niego uwagi. Wiesz, jaki wujek jest. Może znalazł go w jakiejś skrzyni na strychu i dał babci w prezencie. Jak pojedziemy do nich, to sam go zapytasz.

Wujek mamy – brat babci – miał szklane oko, znał wszystkich w Popielniku i mieszkał w gospodarstwie, w którym wcześniej mieszkali Niemcy. Wojtuś trochę się go bał, dlatego zawsze różnymi sposobami starał się wykręcać od wizyt w jego gospodarstwie. Wolał dowiedzieć się jak najwięcej, nie wyjeżdżając z miasteczka.

– No ale te „Poppelnicke” na kartce to Popielnik?

– Pewnie tak.

– No to co to w takim razie jest „Popielnik in Hinterpommern”? – powiedział „Pimperpomer”, ale dla jasności narracji będziemy to ignorować. – Bo tam jest właśnie tak napisane: „Grób aus Popielnik in Hinterpommern”.

– No to coś po niemiecku.

– Nie wiesz co?

– Nie wiem, to trzeba by spytać...